ROK TRZECI.

№ 2.

Warszawa.

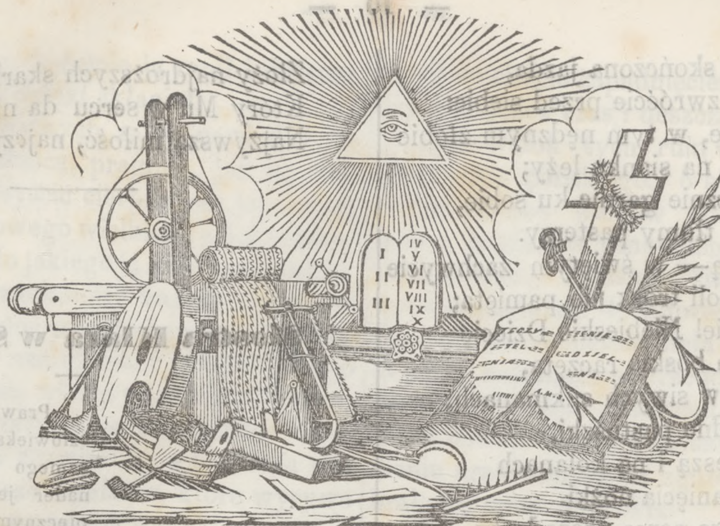
Dnia 29 grudnia

(10 stycznia).

1858.

Niedziela

między Oktawą Trzech Króli.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Panie! błagamy Cię, racz przyjąć z niebieską dobrocią śluby i pokorne modły ludu Twego, a wylej nań Twe błogosławieństwa, iżby poznał, co ma czynić, a poznane, mężnie, wytrwale wykonywał. (Kollekta na Niedzielę między oktawą Trzech Króli).

Trzéj Królowie.

Wielcy między narodami przyjdą do Ciebie, przybędą na wielbłądach Madianu i Ephy. Z Saby przyniosą Ci kadzidła i złoto, a pochwały Pańskie głosić będą.

Od wschodu słońca jadą królowie,
Złote korony mają na głowie,
Złote korony, płaszcze z purpury;
Siwe wielbłądy wiozą ich dary,
A przez nieznanych krain obszary
Cudowna gwiazda wiedzie ich z góry.
Jadą królowie i mówią sobie:
— Gdzie też Syn Boży obrał mieszkanie?
Czy na Syonie, czy na Libanie
Zbudował pałac swojéj osobie?
A w tym pałacu jakie tam łoże,
Jakie zasłony wiszą z szkarłatu?
Może nas straże nie puszczą? może
Olśni nas straszny blask majestatu?
Tak sobie mówią i uzdą złotą
Naglą garbate pustyń wielblądy.
Z gorącéj wiary żywą tęsknotą
Przebrnęli rzeki, przebyli lądy,
Ale daremnie czujny wzrok siłą,
Nie widać stropów pańskiego gmachu;
Serca im w piersiach drżą od przestrachu,
Czy ich obłędne drogi nie mylą?
Lecz nie, na jasnym niebios przestworze
Cudowna gwiazda błyszczy przed niemi,
W dali różowe płoną gdzieś zorze,
Srebrzysty księżyc przyświeca ziemi.
A na téj ziemi jakiś nieznany,
Jakiś weselny powiew radości;
Spiewają wody, gaje i łany,
Drżą tajemniczem tętnem miłości.
Więc trzéj królowie z słodkiem wzruszeniem
Czegoś się cieszą wespół z przyrodą;
Za przewodnicy jasnym promieniem
Siwe wielbłądy same ich wiodą,
Wiodą ich górą, wiodą doliną,
Jak wiatry wieją, strumienie płyną.
Ale o dziwy! cudowna gwiazda
Nagle na jasnem stanęła niebie.

Stójcie mocarze! skończona jazda,
Zdziwione oczy zwróćcie przed siebie:
W téj oto szopce, w tym nędznym żłobie
Dzieciątko Boże na sianku leży;
Marya je wdzięcznie garnie ku sobie,
Cisną się wkoło tłumy pasterzy.
Cisną się, biegną— w świętym zachwycie
Nikt ziemskiéj doli trosk nie pamięta;
Patrzcie królowie! Niebieskie Dziecię
Wyciąga ku nim boskie rączęta,
A te prostaczki w siwych sukmanach,
Te ogorzałe biedne pastuszki,
Pierwsi doń spieszą i na kolanach
Całują śliczne panięcia nóżki.
Potem z wiernego serca szczodroty
Każdy w ofierze składa co może:
Ptaszki, jagniątka i dar sieroty,
Kwiat, co samotne zdobił rozdroże.
Lecz z téj radości, z tego wesela,
Jeszczeby uczcić chcieli to Panię,
Nuż więc piosenki, nuże kapela,
Niechaj Je wdzięczne ucieszy granie!
I płyną tony, słodką hosanną
Anielskie głosy do chóru dźwięczą.
Siwy dziad Józef z Najświętszą Panną
Jak dwie schylone lilje klęczą,
A trzéj królowie z świętą pokorą
Niosą kadzidło, mirrę i złoto.
Boża Dziecina rączyną skorą
Wszystko przygarnia z wdzięczną ochotą,
I wraz wspaniałe królewskie datki
Miesza z wieśniaków chudobą biedną:
Kadzidło razem z leśnemi kwiatki,
Złoto i snopy kłosów za jedno.
A potem zwolna oczki promienne
Jak dwa modraczki ślicznie przymyka;
Marya kołysze niebożę senne,
Cichnie radosna grajków muzyka,
I wkrótce jedna tylko multanka
Jak rozkwilone ptaszę przygrywa,
A rozbudzone echo poranka
Taką się zdaje pieśnią odzywa:
Królе! pasztuszki! wszyscy, co społem
Bogu się w szczeréj korzycie wierze,
I z nachylonėm pokornie czołem
Niesiecie dary wasze w ofierze,
Pomnijcie, że On w jednej ma cenie
Wszystko, czem swoje opatrzył dzieci;
Nad najcudniejszych blasków kamienie
Nieraz łąk kwiatek wdzięczniéj mu świeci,
I ten jedynie przed Bożym tronem
Złoży najdroższych skarbów ofiarę,
Który Mu w sercu da nieskażonem
Najżywszą miłość, najczystszą wiarę!

Siostra Klara w Sulejowie.

Prawdziwą doskonałością człowieka jest wyrzeczenie się samego siebie; człowiek taki nader jest swobodnym i bezpiecznym. (*O naśl. Chr. Ks.* 3. *Roz.* 39.

Wielka jest rzecz miłość, i wielkie zaiste dobro, która sama czyni lekką wszelaką ciężkość, a zarówno znosi wszelkie życia tego niedostatki.

Albowiem brzemię bez uciążenia nosi, a wszelką gorzkość słodką i miłą czyni. (*O naśl. Chr. Ks.* 3 *Roz.* 5).

Podobny przykład wyrzeczenia się samego siebie chrześciańskiéj miłości przedstawia nam Siostra Klara, która bez majątku, bez stosunków, siłą jedynie woli i wiary w Opatrzność utworzyła i stanęła na czele zakładu, gdzie około 30 biednych sierotek żywi, uczy i pielęgnuje.

W młodocianym jeszcze wieku poczuła ona w sobie powołanie do stanu zakonnego, a gdy rodzice jéj, inne względem niéj mający widoki, sprzeciwili się z razu życzeniom córki, ta ciężką chorobą przypłaciła ich opór; czem pokonani pozwolili jéj uczynić, co zechce. Uszczęśliwiona drogo okupionem pozwoleniem przyszła wkrótce do pierwotnego zdrowia, i zaraz (lat temu około 30) rozpoczęła nowicyat w klasztorze PP. Bernardynek w Warcie (1).

Oblekłszy zakonną sukienkę i pełniąc gorliwie obowiązki regułą przepisane, przygarniała już wtedy do siebie ubogie i opuszczone sieroty, a wszelki zasiłek otrzymany bądź od krewnych, bądź ze zbieranéj na ten cel kwesty, obracała na ich opatrzenie— taką bowiem Stwórca wlał miłość w jéj serce, że każdy widok wałęsającéj się,

(1) *Warta* miasto okręgowe, położone nad rzeką tegoż imienia w byłéj gubernii Kaliskiéj, liczy 3200 mieszkańców.

opuszczonéj dzieciny, boleśnie ją ranił i do rozciągnięcia nad niem opieki skłaniał.

Wśród tych pobożnych zajęć nawiedził ją Pan Bóg ciężką niemocą, pragnąc, jak się zdaje, zahartować i oczyścić cierpieniem jéj duszę, aby godną się stała owego wielkiego a dobroczynnego posłanictwa, do jakiego ją snać przeznaczał. „Cierpienie, (mówi znakomity kapłan francuzki Fenelon) jest najdzielniejszem lekarstwem na największe niedostatki naszéj natury; wśród niego bowiem dokonywa się wielka tajemnica Chrystyanizmu, to jest ukrzyżowanie wewnętrzne człowieka; wówczas to rozwija się w nim cała siła łaski i jéj najskrytsze działanie, które wyrywa człowieka z więzów samolubstwa.“

W niemocy téj przykuta do łoża boleści, krzepiła i doskonaliła ciągle swego ducha, i kiedy wreszcie po dwunastu latach ciągłych cierpień powstała z choroby, zamiar poświęcenia się wyłącznéj opiece biednych sierotek dojrzał w jéj umyśle. Otrzymawszy pozwolenie od swéj Zwierzchności Duchownéj udania się do swéj rodziny dla poratowania nadwątlonego długą chorobą zdrowia, opuściła Siostra Klara cichą swą celkę, w któréj lat tyle przeżyła, zamieniając ją chwilowo na wygody rodzinnego domu, jakiemi ją serdeczne przywiązanie famlii otoczyło. Pomimo wszakże tych wygód i téj przychylności, jakiej codzienne odbierała dowody, tęskno jéj było za kościołem, którego dosyć daleko szukać było potrzeba, za pobożnemi zajęciami, do których tak nawykła, i które tak zamiłowała, że stały się potrzebą jéj życia.

Z powrotem do sił, myśl powziętą w chorobie urzeczywistnić pragnęła, ale brakło jéj dotąd ku temu sposobności—sposobność tę wkrótce jéj sama Opatrzność podała. O parę mil od jéj rodzinnego gniazda, w miejscu zwanem *Poświętne*, w granicach miasteczka Sulejowa (2) nad rzeką Pilicą, stały opustoszałe mury klasztoru i kościoła dawniéj XX. Cystersów. Kościół ten założony wraz z Opactwem r. 1176 za panowania Mieczysława IIIgo, wspaniały niegdyś i uposażony bogato, przyszedł już był do takiego stopnia zniszczenia, że miał zostać zamknięty— uszkodzony bowiem przez pożar i pozbawiony miedzianego dachu, który ogień strawił, groził co chwila zapadnięciem sklepień, nadniszczonych przez czas i deszcze.

Otóż widok tych ruin wspaniałego niegdyś przybytku pańskiego, o którego ściany przez siedm blisko wieków odbijały się pobożne pienia kapłanów i mnogiego ludu, a w którym miało dzisiaj zagasnąć święte ognisko ofiary, żywo przemówił do tkliwego serca siostry Klary; myśl nowa przeniknęła jéj umysł, i zespoliła się z zamiarem poprzednim. Powiedziała ona sobie: trzeba dźwignąć te mury, przywrócić je chwale Bożej, a zarazem dać w nich schronienie uratowanym od zguby dziateczkom. I zabrała się wnet do dzieła.

Olbrzymie to przedsięwzięcie nie zatrwożyło jéj ani na chwilę; olbrzymie, gdy zważymy siły téj, co je wzięła na swe barki: uboga zakonnica, bez majątku, bez stosunków, bez wyższego ukształcenia, nie posiadająca nawet daru wymowy, którąby przeniknąć zdołała serca innych, potężna jedynie duchem i wiarą w Opatrzność i łaskę Bożą. Kwesta i jałmużny jedynem były źródłem, z którego czerpać mogła. Zmierzyła ona naprzód myślą trudy, kłopoty, upokorzenia, zawody, jakie ją na téj drodze czekały; ale nie ulękła się ich bynajmniéj, nie cofnęła się przed niemi, wsparta wewnętrznem przekonaniem o świętości swych celów. I Bóg pobłogosławił prace swojéj służebnicy; dziś po upływie lat sześciu, kościół pokryty jest słomianym wprawdzie, ale mocnym dachem, chroniącym mury od dalszéj ruiny i upadku, uszkodzenia ponaprawiane, wewnątrz utrzymany ubogo, ale chędogo; ołtarze ma ozdobione robotami wychowanek zakładu Siostry Klary, mieszczącego w sobie około 30 dziatek, a złożonego wogóle z osób przeszło 40, licząc w to służbę, tak do zakładu, jak i gospodarstwa należącą.

Pomimo tak niepewnéj podstawy dochodów, dzieło to w Imię Boże rozpoczęte, rozwija się zwolna, ale wytrwale. Głodu tam jeszcze nie było, pomimo lat tak ciężkich; wszystkie potrzeby bywają skromnie, ale ciągle i skrzętnie zaspokajane; wszędzie panuje porządek, ład, praca, cichość, prostota i bogobojność. Zebrane tam z różnych stron kraju dziewczęta mają czas podzielony pomiędzy modlitwę i naukę, ucząc się oprócz rozmaitych robót kobiecych, czytania, pisania i początków arytmetyki. Wszystkim tym zajęciom i naukom przewodniczy Siostra Klara.

(2) *Sulejów* małe miasteczko położone nad rzeką Pilicą, w powiecie Piotrkowskim, gubernii Warszawskiéj, liczące 1250 mieszkańców.

Smutno jest pomyśleć, iż na przypadek dłuższéj jéj choroby, a co gorzéj śmierci, zakład ten miłosierny, żywiący i kształcący kilkadziesiąt ubogich sierot, przyszedłby do upadku, bacząc zwłaszcza, że Siostra Klara ma dziś lat około 60; całe bowiem jego istnienie na niej samej jedynie i wyłącznie polega. Pragnąc ona zapewnić jakąś trwałość swemu dziełu, zamierzyła przybrać sobie parę *Socyuszek* (towarzyszek), już i dla podzielenia się pomnożonemi obowiązkami i zajęciami, przy coraz większéj liczbie wychowanek zakładu; ale okoliczności nie od jéj woli zależne, nie pozwoliły jéj dotąd przywieść zamiaru tego do skutku. Wprawdzie starsze wychowanki zakładu ukształcone przez Siostrę Klarę, przynoszą jéj już niejaką ulgę i pomoc przy nauce młodszych, zawsze jednak nie posiada zakład nikogo takiego, coby chwilowo nawet był w stanie szanowną założycielkę zastąpić.

Do trosk o przyszłość swego dzieła ileż się to nie łączy w jéj umyśle kłopotów i niepokojów o chleb codzienny, który zdobywać potrzeba miłosierdziem. Wprawdzie szczerą swą wiarą, prawdą i prostotą i potrafiła Siostra Klara rozbroić najbardziéj nawet nieprzychylnych i uprzedzonych. Te sieroty, mawiała, same bez opieki na żebraninie i włóczędze nauczyłyby się próżnować i kłamać, za czem wszystko złe idzie—ja nauczę je rządzić się prawdą, pracować i Pana Boga chwalić. I uznano i oceniono wreszcie jéj zasługi, a dziś nie znajdzie pewnie takiego, coby w miarę swéj możności nie obdarował Siostry Klary, gdy się w jego progach ukaże.

Ale pomimo współczucia, jakie dla siebie Siostra Klara wywalczyć potrafiła, pomimo spokoju, jaki zdaje się gościć na jéj czole, któż zdoła odgadnąć i policzyć ciche łzy wylane w ukryciu, gorycze, chwile zwątpienia i niepewności w sercu téj kobiety, która nie wie dziś, czem za kilka dni opędzi najpierwsze potrzeby, ani co daléj będzie? Silna jedynie wiara, jaką posiada, podtrzymuje ją na téj ciernistéj drodze i niedaje upaść pod ciężarem trudów i zwątpienia. W najtrudniejszych chwilach, skrzepiona serdeczną modlitwą, z krzyżem i różańcem w ręku, szła ona w świat szukać dobrodziejów; dziś przyszła do tej już zamożności, że ma własną bryczkę i parę koni, co jéj pozwala puszczać się w odleglejsze strony, i tam w Imię Chrystusa kołatać do serc litościwych o pomoc i wsparcie dla swoich sierotek.

Swieżo właśnie otrzymaliśmy korospondencyę z stron tamtych, dającą nam możność uzupełnienia wiadomości o téj niezwyczajnéj z poświęcenia swego kobiecie:

— Wczoraj przed wieczorem (są słowa korrespondencyi) zajechała do nas Siostra Klara zakonnica, która własnym pomysłem założyła dom Ochrony dla sierot w gmachu pozostałym po zgromadzeniu XX. Cystersów pod Sulejowem, i zanocowała z małą dziewczynką, jedną ze swych wychowanek — wieczór opowiadała nam szczegóły prowadzenia swego zakładu. Kobieta ta bez wyższego wykształcenia, ale pełna wiary Bożéj i energii, poświęciwszy się spełnieniu wielkiego zadania, z świętobliwą pokorą i niezmordowaną pracą, ręką Opatrzności żywi, odziewa i wychowuje około 30 sierot, ucząc je pobożności i pracy.

Był u nas właśnie pan S... z Gwardyanem klasztoru Stéj Anny (3) i opowiadał, że mając czynność oddania pary pustych osad, ofiarowanych przez Komisyę Skarbu na rzecz tych sierot, zwiedził zakład i zaświadczył przykładne prowadzenie szkółki. Zastał 22 dziewcząt i 4 chłopców, skromnie ale czysto ubranych —dziewczęta starsze zajęte były haftowaniem, szyciem bielizny i lekcyami czytania udzielanemi młodszym. Od sześciu lat zacna Siostra Klara utrzymując ten zakład, jednę wychowankę wydała mąż, sześć zaś dostatecznie usposobionych umieściła po dworach, jedne jako panny do szycia, drugie do wyręczania lub pomocy w gospodarstwie. Na dziewczynce, którą miała z sobą, widać było ogładę, wyróżniającą ją od gminu, z którego pochodzi. Odwoziła ona pani Jachowskiéj w okolicy Grójca (4) zamieszkałéj, szlafrok biały w jéj zakładzie ładnie wyhaftowany, który oglądając, trudno było uwierzyć, żeby surowe dzieci gminne w tak krótkim czasie można było wyuczyć tyle delikatnéj ro-

(3) *Swięta Anna* jest to nazwa kościoła i klasztoru XX. Franciszkanów, położonego w obrębie wsi rządowéj Smardzewice nad rzeką Pilicą, w okręgu Opoczyńskim, gubernii Radomskiéj.

(4) *Grójec* niewielkie miasteczko, o 7 mil od Warszawy przy drodze bitéj do Radomia położone, liczy 2500 mieszkańców.

boty; a tem bardziéj, ażeby jedna kobieta w ciągu lat sześciu, a wszystkich głodnych, potrafiła przeżywić i odziać gromadkę dzieci, z których gdyby nie jéj poświęcenie i opieka, połowa co najmniéj wymarłaby z głodu.

Ta zasługa, jaką Siostra Klara dla dobra ludzkości położyła, wzywa każdego poczciwego człowieka do pomocy w spełnieniu świętego zamiaru i przyłożenia tym sposobem ręki do samego dzieła przez ubożuchną służebnicę Bożą rozpoczętego.

— Nie dosyć na tem, że Siostra Klara utrzymuje i uczy sieroty, przyczynia się ona nadto do wspierania kościoła. Po zwinięciu klasztoru, różne kościoły brały po nim spuściznę. Dostał on wprawdzie przeznaczenie kościoła parafialnego, ale całym funduszem na utrzymanie proboszcza jest kompetencya (5) w ilości 1,200 złp. (180 rs.) ze Skarbu wyznaczona. W czasie pożaru stopiły się dzwony, apparaty i ubranie ołtarzy czas zniszczył. Otóż Siostra Klara sprawiła już jeden dzwon, na drugi zbiera fundusze; sprawiła obok tego nieco apparatów, dywan na stopnie ołtarza, i utrzymuje swoim kosztem organistę, który jest zarazem u niéj gospodarzem, bo na organistę niema funduszu.

Oto drobny rys poświęceń ze strony téj niezmordowanéj pracownicy w winnicy Pańskiéj; a ileż ich jest utajonych i nieznanych, które jedynie wyobraźnia czytelników dopełnić może. Aby zaś tem lepiéj dać jeszcze poznać charakter Siostry Klary, przytoczmy tu list pisany przez nią do jednéj z owych sześciu wychowanek, które od siebie w świat wyprawiła:

„W Imię Trójcy przenajświętszéj, Maryi Panny i wszystkich świętych!

Ja zakonnica Klara, daję ci Henryko! błogosławieństwo Boskie i moje, prosząc cię i upominając na twoje własne zbawienie, żebyś pamiętała zawsze być cnotliwą, pokorną, cierpliwą, pracowitą i kochającą się w prawdzie. Zawsze niech będzie słowo twoje; *jest? jest; niemasz? niemasz* — a Bóg Najwyższy będzie za twoje życie słodką nagrodą. Tak zawszę bądź niewinną panienką, jako dzisiaj jesteś, żyj według przykazań Boskich i kościelnych, ojca kochaj i szanuj, oraz matkę chociaż przybraną. Jeżeli się znajdować będziesz w domu godnym jakim w obowiązkach służby, bądź poczciwą, wierną, pilną, nie leń się żadnéj posługi, bo robota każda chociażby najniższa, nikogo nie krzywdzi. Tylko pycha jest złą, zawsze i wszędzie. Moje dziecię! słuchaj téj nauki, a będziesz szczęśliwą na ziemi i w Niebie. Nie zapominaj w twoich modlitwach o dobrodziejach kochanych, z których łaski i litości pobierałaś dotąd życie i okrycie, bo gdyby oni ofiary mnie nie dali, jabym was utrzymać w żaden sposób nie mogła, gdyż ja nie mam nic, tylko duszę w ciele niegodnem i wiarę w Boga. Wielbij Opatrzność Boską, w któréj i z któréj żyjemy... Bądź przykładem córko ukochana! ludowi Bożemu, żyjąc teraz na świecie, abyś była pociechą moją oraz ojca twojego, matki, i żeby siostrzyczki twoje w Ochronie zostające, miały chlubę z prowadzenia się twego. Przytem pamiętaj kochana Henrysiu, dziecię moje, pisywać do mnie dwa razy do roku, jak mi się tam będziesz miała, i jakie będzie powodzenie twoje? Drzwi dla ciebie będą zawsze otwarte w Sulejowskiéj Ochronce; pamiętaj też o mnie w modlitwach codziennych przed Bogiem!

Obracam się też z nową prośbą moją do do domów pańskich: gdziekolwiek przez los zostawać będzie w obowiązkach moje dziecię, Henryka, upraszam pokornie i jak najmocniéj, żeby skromnie była chowana, w cnocie, uczciwości, jako każdéj należy się pannie w dobrym domu; aby ją strzeżono pilnie od napaści i namowy złej, jakby dziecię własne, żeby nie była ohydą świętéj nauki ubogiego Domu Ochronki i siostr swoich sierotek".

Zakonnica Z. O. S. Franciszka Serafickiego, Klara sługa domu Ochronki, sierot swoich przełożona.

Wieś Sulejów, Klasztor po XX. Cystersach, nateraz Ochrona Sierot.

Opowiadanie z m. Radomia.

Po nabożeństwie w Niedzielę, u jednego majstra szewckiego w Radomiu, razem zebrani czeladnicy i chłopcy odczytywali kolejno różne wiadomości z Czytelni Niedzielnéj. Czytanie to odbywało się pod przewodnictwem majstra gospodarza domu—a czytano i słuchano z wielką uwagą historyą o stolarzu z Radomia, w Numerze 15 z r. 1857, pod tytułem *Dziwna Para*, kiedy weszło kilku majstrów różnéj profesyi do obszernej i widnéj izby, przeznaczonéj na pra-

(5) Wynagrodzenie.

cownią, w której naokoło poustawiane były stoliki i stołki, a na stolikach poukładane różne narzędzia rzemieślnicze. Pod oknem stał duży stół służący na skład materyałów, jakoto: skór, płótna i t. p. a na stronie leżała duża księga w skórę oprawna do zapisywania zamówionéj roboty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekli wchodzący.—Na wieki wieków amen, odpowiedział majster, powstając i witając przybyłych.

— Właśnie w sam czas przybyliśmy; i my też chcemy posłuchać czytania, rzekł jeden. Słyszeliśmy pochwały, że tu tak pięknie przepędzacie niedziele i święta, tak korzystnie dla młodych; chcemy podobnie i u nas urządzić, nauczywszy się od was.

— Siadajcież, siadajcież, rzekł uprzejmie gospodarz, czytamy tu o stolarzu z Radomia, to zaczniemy od początku.

I miło było patrzeć, kiedy jeden z czeladników czytał głośno i zrozumiale jak ksiądz na ambonie, a wszyscy słuchali ciekawie jakby w kościele.

Po skończonem czytaniu majstrowie pamiętając jeszcze tę historyę, różne o niéj dodawali szczegóły, a jeden z nich się odezwał:—a ja wam też opowiem historyą o szewcu z Radomia, któréj przed laty kilku byłem naocznym świadkiem— i zaczął temi słowy:

Przed kilku laty przy ulicy Lubelskiéj tu w Radomiu mieszkał szewc, majster dobry, bo to czeladnikiem wędrował po wielkich miastach, bardzo poczciwy człowiek, rzetelny i pracowity. Wkrótce dorobił się znacznego grosza, bo i żonę miał dobrą gospodynią i zabiegliwą, tak, że go stać było zakupić jaki dom albo kawał ziemi. Lecz w dobrym bycie często się o Panu Bogu zapomina, a praca się uprzykrza, i jak człowiek próżniactwo polubi, to już zginął. Tak się i z tym majstrem na nieszczęście stało. Zadumał się raz długo; przy próżniactwie same złe myśli snują się po głowie – mówi więc sam do siebie: mam pieniądze, dlaczegóż mam pracować ciągle i nigdy nie wypocząć? Ludzie się bawią na świecie, i ja też potrzebuję tego, a potem prędko do swojéj pracy powrócę. Ubrał się w szaty świąteczne, a udawszy przed żoną ważny interes, wymknął się z izby na ulicę, pierwszy raz bez żadnéj potrzeby w dzień powszedni. Serce mu zabiło, a sumienie wymawiało, że źle robi; ale wkrótce przywitawszy się to z tym, to z owym znajomym, nabrał odwagi i śmiałości, puścił się chodnikiem żwawo—mijając tylko szynkownie zwalniał kroku, a przez okno lub drzwi otwarte wpatrywał się pilnie, kto też tam jest? W jednéj szynkowni dostrzegł swojego kuma stolarza i kilku innych majstrów różnéj profesyi, zwolnił kroku około drzwi i okien, ale przeszedł. Lecz niezadługo tak nagły zrobił zwrot, jakby zapomniał czego: zwalnia przed samym szynkiem kroku, wchodzi i zamawia się o coś; a wtem słyszy powitania czułe swojego kuma i towarzyszy jego i przysiada się do nich. Koléj kieliszka za koleją idzie, pogadanka głośna, i tak mu prędko a mile czas zeszedł do późnéj nocy. Przyszedł do domu dobrze podchmielony, ale na wymówki żony zręcznie się ważnym interesem wymówił.

Nazajutrz głowa cięży, ręce drżą, do roboty ani chęci ani siły niema—krajanie obuwia zleca czeladnikowi starszemu, a sam znów wychodzi na miasto, czego żona zajęta gospodarstwem i dziećmi nie widziała; prędko znajduje się w szynkowni na rogu ulicy Szewckiéj z myślą, aby w odwet uczęstować swych wczorajszych towarzyszy. Ale jakże się ucieszył, gdy ich tam już zastał.

Nie będę wam tu pojedyńczych dni opowiadał, powiem tylko, że jak to mówi przysłowie: najtrudniéj zacząć, pójdzie się daléj—tak i nasz majster potrafił się zawsze żonie wytłumaczyć, siebie uniewinnić; coraz bywał krócéj w domu, nierychléj powracał, aż stał się pijakiem. Poczciwa żona nierychło się spostrzegła, bo zajrzawszy do skrzynki, znalazła przetrzebione ruble; nieład, nieporządek zakradał się zwolna, a za niemi zaglądała nędza. Czeladnicy się rozeszli, terminatorowie pouciekali, nikt nie zamawiał roboty, słowem, w rok już majster był wytykany na ulicy, jako największy pijak; żona zaś jego utrzymywała się nędznie z dziećmi swojemi z pracy rąk własnych—pieniądze bowiem już dawno się rozeszły, bo jak do worka nic nie przybywa, to prędko się wypróżnia.

Dnia jednego zgłodniały, odarty, wynędzniały, przyszedł nasz majster do malutkiéj izdebki, którą dla siebie najęła żona; stracił już bowiem kredyt, a upić się nie było za co. Obiecuje nieszczęsny poprawę z płaczem i lamentem, a choć nie pierwszy to już raz było, poczciwa żona jeszcze mu wierzy, opiera, daje jeść, pociesza się nadzieją i przemyśla tylko, jakimby

sposobem nastręczyć mu robotę. Tak trzy dni odpoczywał, czwartego dnia gdy się o robotę turbuje, idzie żona do znajomego a zamożnego majstra, opowiada swoje nieszczęście, prosi o pomoc, a dostawszy dość korzystną robotę i materyał, spieszy do domu; ale cóż za zmartwienie nowe, jakaż boleść serce jéj przenikła, kiedy zastaje dzieci płaczące, opowiadające matce, jak ojciec zabrał jéj rubli 3 uzbierane na zapłacenie komornego, jak broniące mu tego dzieci pobił, a wziąwszy jeszcze jéj chustkę, wyszedł z domu.

Do późnéj nocy nie mogła go żona odszukać w żadnéj szynkowni w Radomiu, i aż dnia trzeciego znalazła go na Koniówce za Radomiem kilka wiorst odległéj szynkowni. Nie chodziło jéj tyle już o straconego męża, ile o pieniądze krwawo zapracowane — dlatego dowiedziawszy się, że jeszcze wszystkich nie strwonił, prosi go, nalega, grozi i zabiera z sobą do Radomia, myśląc, że łatwiéj pieniądze odbierze, których on tutaj oddać nie chciał.

Przechodząc ulicą Szwarlikowską, szewc pospiesza naprzód, przechodzi przez różne przechodnie domy z ulicy na ulicę, prosi żony niby dla uniknienia wstydu, żeby za nim nie szła; przyrzeka poprawę, powrót do domu, oddanie pieniędzy—nareszcie kiedy zmęczona żona spuszcza go z oka, traci ślad za nim i powraca strapiona do domu. Dziwno i jéj było bardzo i tym, którzy widzieli jéj męża, jak uwijał się po ulicy, wszedł do sieni, gdzie był szynk, gdy nagle zniknął jakby w ziemię zapadł.

Ale jakże nasz majster nie miał zniknąć, kiedy przechodząc przez sień, zobaczył z drugiej strony domu na innéj ulicy duży wóz drabiniasty, a na nim pełno słomy—przy wozie nie było nikogo, a więc zagrzebuje się nieszczęsny w słomę i w tak wygodnéj pościeli zasypia twardo. Był to wóz furmański, którego właściciel sprzedawszy garnki, powracał do domu i tylko na poczęsne wstąpił. Teraz więc wyszedłszy z szynku, ruszył w drogę, a nasz majster już nie był w Radomiu, ale jechał do miasta Iłży o 4 mile odległego od Radomia.

Do miasta tego ze wszystkich stron wjeżdża się z góry, a ze strony Radomia z dużej kamienistej, tuż około cmentarza grzebalnego. W tém miejscu turkot po kamienistej drodze przebudził szewca, a gdy się na wozie ruszać zaczął i mamrotać niezrozumiale, jak się to pijanym po przespaniu zdarza, takiego strachu nabawił furmana, iż zdawało mu się, że widzi i słyszy ścigających go ze cmentarza upiorów; podcina więc konie, rozpuszcza je z góry i tak przestraszony staje przed domem swoim i bije w okno — a było to jakoś po północy i bardzo ciemno. Otwierają mu domownicy, rozniecają ogień, ale żona nie mogąc rozumieć stanu swojego męża, ani się nic od niego dowiedzieć, łaje go za pijaństwo. Tymczasem chłopak wyszedł obrządzić konie, a wóz wtoczyć na stodołę. Otóż tym sposobem nasz majster jest w stodole w Iłży na wozie; bo kiedy około cmentarza się przebudził, na widok ciemnéj nocy, wielkiego turkotu, zdało mu się, że przyszedł koniec i na niego, i jak mu to przepowiadała nieraz jego żona, djabli porywają go do piekła, co w jego rozmarzonej głowie było prawdopodobnem; utulił się więc, zagrzebał lepiej w słomę i znów kołysany na wozie, zasnął.

Długo nie mógł się furman usprawiedliwić swej żonie, bo długo nie mógł przyjść do siebie z przestrachu; nareszcie opowiadał dziwolągi: jak go upiory goniły, jak wydawały jęki, jak byłyby go złapały i udusiły, gdyby nie śmigłe jego szkapy, i dziwne, dziwne rzeczy. Żona furmana wierzyła wszystkiemu, słuchali ciekawie domownicy, a nawet dodała: nie próżnoć to opowiadali, że ten Suchorabski, co to niedawno zamarł, będzie upiorem, bo zawsze czerwony jak ćwik chodził, a wszystkich chował w cholerę, choć w nocy, i nie bał się pójść na cmentarz.— A nie pamiętacie to, odezwała się jéj matka staruszka, jak to goniło coś naszego burmistrza, kiedy jeszcze był kawalerem, a jechał od panny konno około cmentarza? Toć on sam o tém dowodnie rozpowiadał.

Nazajutrz jeszcze furman odpoczywał po wczorajszych strachach, a już po całém mieście opowiadano różne i przeróżne historye; w każdym domu przydano trochę, tak, że już około południa opowiadano: jako furman garncarski Jabłoński leży bardzo chory, umierający, bo go upiory mocno zdusiły i t. p.—nawet kilku mniéj roztropnych chodziło kolejno od domu do domu, namawiając śmiałków, aby upiorowi Sucharabskiemu głowę rydlem uciąć, albo go na twarz obrócić w trumnie. Rozsądniejsi jednak tłumaczyli im, że upiorów niema, że to są zabo-

bony, że Suchorabski dlatego taki był czerwony, iż dużo pił gorzalki i zapił się nią; a lejącemu w siebie taki ogień, jakże nie miała twarz pałać?

Kiedy tak całe miasto bawi się gawędą, do któréj był powodem nasz majster z Radomia, on wyspawszy się, wytrzeźwiwszy, wygrzebał się ze słomy, tak około południa, zeszedł z wozu i ani mógł sobie tego wytłumaczyć, co on tu robi, gdzie jest, widząc stodołę zamkniętą, pełną zboża i siana i wóz na klepisku. Kiedy tak ziewa, przeciąga się, rozmyślając, co z sobą począć, otwiera stodołę ten sam furman, co go przywiózł, chcąc koniom siana zarzucić. Krzyknął przeraźliwie furman,— na ten krzyk zbiegają się domownicy, sąsiedzi, za chwilę całe podwórko staje się pełne ludu. Przyglądają się ciekawie zdaleka szewcowi, który na to wszystko nic nie mówi, lecz stoi jak wryty w stodole. Jedni mówią, że to jest złodziéj, który się w nocy zakradł, inni że to upiór wczorajszy, słowem, każdy inaczéj tłumaczy, inaczéj radzi; a kiedy szewc ruszył się z miejsca, to z podwórka jakby wymiótł, tak uciekali. Bo też i postawę nasz szewc miał straszną: wzrost duży, twarz chudą, czerwoną jak upiór, nos niebieski duży, oczy zapadłe, włosy na głowie stojące bez ładu, a w nich pełno słomy i barłogu, surdut wytarty i dziurawy, buty podobnéż i zabłocone. Nareszcie jeden z przybyłych, rozsądny człowiek odezwał się do otaczających:

— A czegoż się boicie, wszak to człowiek, pójdźmy raczéj i zapytajmy go, co on tu porabia i czego potrzebuje?

To ośmieliło innych, poszli za nim do stodoły, a powoli dowiedzieli się wszyscy, kto on jest, jakim sposobem się tu dostał. Znalazł się i taki szewc w Iłży, który swojego syna do terminu za lepszych czasów mu oddał; dopieroż to było po całém mieście opowiadania, a śmiechu z upiorów. Ale naszego majstra tak to poprawiło, że zaraz w Iłży wyznając przed towarzyszami całą swoję winę, zrzekając się nałogu pijaństwa, prosił o przyjęcie go na czeladnika. Pracował dzień i noc, całe miasto i cała okolica była z jego roboty zadowolona— aż odżywiwszy się, wydobrzał, okrył się przyzwoicie, zarobił trochę gotówki i zupełnie innym człowiekiem, takim samym, jak był dawniéj, wrócił do żony do Radomia. Utrata tylko jednego syna, kilka zmarszczek na twarzy obojgu, oczy wypłakane u żony, brak sprzętów domowych i rzemieślniczych, mała izdebka zamiast wygodnego mieszkania i sklepu, oto odmiany, które zastał, a które dowodziły, co ta rodzina w dwóch latach przeniosła. Teraz żyją sobie szczęśliwi, a żona mawia, iż nawrócenie się męża uprosiła u Boga, za co Mu ciągle dziękuje; mąż zaś dowodzi, że z każdego nałogu powstać można, byleby była silna wola poprawy.

Wspominki.

1. Sobieski Paweł, kasztelan krakowski na wsi bawiąc, miejscowego plebana zwykle brał do stołu, pierwsze naznaczając mu miejsce. Gniewał się na ten zwyczaj gość jeden wojewoda, a kasztelan tem się składał, iż szanuje pasterza. Oddalił się nareszcie urażony wojewoda, a pleban duchem Bożym natchniony, rzekł do gospodarza: A ponieważ uszanowałeś pomazańca pańskiego, mieć będziesz w domu swoim pomazańca Chrystusowego. Co się na królu Janie III spełniło.

2. Dawniej był zwyczaj w kraju naszym, że do miejsc, gdzie się zatrzymywał król z dworem obowiązany był lud okoliczny dostawiać wszelkich potrzeb ku wygodnemu pomieszczeniu gości niezbędnych.

Otóż gdy raz Jadwiga z Władysławem Jagiełłą swym małżonkiem przejeżdżała po okolicach Wielkopolski, a urzędnicy niezadowoleni z dostawionych przez okolicznych mieszkańców płodów, zabierali im gwałtem inwentarz, mąkę i inne produkta, Jadwiga dowiedziawszy się o tem, kazała je powrócić, a skoro dali jéj znać o pełnionem poleceniu, toście, rzekła, wrócili im dobytek i stratę, a któż nagrodzi im łzy wylane?

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa dnia 24 grudnia (5 stycznia) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*